

JADWIGA KIWERSKA
Poznań

KRYZYS W RELACJACH AMERYKAŃSKO-IZRAELSKICH BILANS PIERWSZEJ KADENCJI BARACKA OBAMY

ANTECEDENCJE

Nie ma przesady w twierdzeniu, że konflikt na Bliskim Wschodzie to rodzaj „węzła gordyjskiego”, w którym zawiązane zostały różnicowane racje zamieszkujących ten region narodów, interesy mocarstw bliższego i dalszego sąsiedztwa oraz oddziaływanie skomplikowanych czynników religijnych, politycznych i gospodarczych. Z jednej strony jest Izrael, miejsce dla każdego Żyda niepowtarzalne i jedyne. Wielki Izrael – *Erec Israel*, obejmujący obszar biblijnego państwa Izraelitów – był i jest marzeniem wielu żydowskich przywódców religijnych. Także niektórzy politycy w Izraelu nadal myślą tymi kategoriami. Z drugiej strony są Arabowie, dla których Palestyna to ich ojczysta ziemia. Miliony z nich uciekły lub zostały z tej ziemi usunięte wskutek bliskowschodnich wojen i konfliktów. Ale nazywają się Palestyńczykami, co potwierdza, jaki obszar uważają za swą ojczystą ziemię – teren niemalże tożsamy z dzisiejszym Izraelem. Ci, co pozostali, mieszkają na terenach, które bądź znajdują się pod okupacją izraelską, bądź tworzą quasi-państwo Autonomię Palestyńską.

Sytuację komplikował i komplikuje fakt, że strony zaangażowane w ten trwający już dziesiątki lat konflikt zyskiwały różnych adwokatów. Najpierw były to dawne mocarstwa kolonialne – Francja, Wielka Brytania, potem na Bliskim Wschodzie stały się interesy Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. Przez cały czas obecni byli też najbliżsi geograficznie gracze w tym konflikcie – państwa arabskie. Region bliskowschodni był więc w okresie konfrontacji zimnowojennej terenem nie tylko krwawych starć, ale wręcz wojen izraelsko-arabskich, a podejmowane próby rozwiązań pokojowych kończyły się najwyżej połowicznymi sukcesami. Jakkolwiek docenić należy znaczenie izraelsko-egipskiego traktatu pokojowego, podpisanego w Camp David w 1979 r., to jednak brak było rozstrzygnięć, które uczyniłyby Ziemię Świętą obszarem spokoju i stabilizacji. Niemniej jednak od połowy lat siedemdziesiątych to właśnie Stany Zjednoczone odgrywały kluczową rolę w działaniach dyplomatycznych na Bliskim Wschodzie

i to one przyczyniły się do tego bezprecedensowego w sumie aktu, jakim było zawarcie pokoju między Izraelem a Egiptem¹.

Ta rola Ameryki jako głównego katalizatora postępu w bliskowschodnim procesie pokojowym wzrosła na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku. Chociaż decydujące znaczenie miała wola i gotowość do kompromisu bezpośrednio uwikłanych w konflikt stron – żydowskiej i palestyńskiej, to jednak trudno nie dostrzec, jak wiele zależało od stopnia i charakteru zaangażowania jedyne supermocarstwa. Amerykanie dysponowali w tej batalii o pokój na Bliskim Wschodzie niepodważalnymi atutami – po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej umocnili swą pozycję w regionie, gdy tymczasem Rosjanie po rozpadzie Związku Radzieckiego przestali się liczyć nie tylko jako gracz w świecie bliskowschodnim, ale przede wszystkim jako adwokat i sprzymierzeniec Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Znaczenie miał również fakt ogromnej pomocy finansowej i materialnej, jakiej Waszyngton udzielał Izraelowi, zyskując w ten sposób możliwość wpływania na jego politykę. Z drugiej strony także Jaser Arafat, przywódca OWP, po dekompozycji świata komunistycznego został zmuszony do głębokiej rewizji swej dotychczasowej strategii i taktyki. W przeciwnym razie nie mógłby liczyć na pomoc i wsparcie Stanów Zjednoczonych oraz innych państw Zachodu, a tacy potencjalni sojusznicy zostali na placu boju.

Efektami amerykańskiej aktywności były znaczące sukcesy w bliskowschodnim procesie pokojowym w okresie urzędowania Billa Clintona – choćby porozumienie z Oslo, podpisane w Waszyngtonie we wrześniu 1993 r., utworzenie Autonomii Palestyńskiej i powrót J. Arafata do Palestyny w lipcu 1994 r., a także podpisany w tym samym czasie układ między Izraelem a Jordanią. W kolejnych latach wprowadzanie procesu pokojowego poddawany był różnym wstrząsom i załamaniom, głównie wskutek zamachów terrorystycznych dokonywanych w Izraelu przez palestyńskie ugrupowania radykalne, to jednak doszło też do podpisania układu Oslo II w 1995 r. (przekazanie Palestyńczykom kontroli nad 40% Terytoriów Okupowanych), zawarcia w 1998 r. porozumienia w Wye River Plantation („pokój za ziemię”) oraz w 1999 r. – porozumienia o powstaniu w przyszłości państwa palestyńskiego. W tym wszystkim trudny do przecenienia był udział Waszyngtonu, który dysponując różnymi atutami i dbając o pozory bezstronności, wywierał skuteczną presję na Izrael i władze Autonomii Palestyńskiej, doprowadzając strony do negocjacji i uzgodnień. Proces pokojowy toczył się więc w dużej mierze dzięki zaangażowaniu Amerykanów, a gdy pojawiały się trudności, to nowe impulsy wychodziły najczęściej właśnie z Waszyngtonu².

¹ W. B. Quandt, *Peace Process: American Diplomacy and the Arab-Israeli Conflict Since 1967*, Los Angeles 1996.

² O procesie pokojowym w okresie prezydentury B. Clintona i roli Stanów Zjednoczonych zob.: M. Tessler, *A History of the Israel-Palestinian Conflict*, Indiana 1994, s. 533 i n.; W. B. Quandt, *op. cit.*, s. 321-341; A. Shlaim, *The United States and the Israeli-Palestinian Conflict*, w: K. Booth (ed.), *World in Collision. Terror and the Future of Global Order*, London 2002, s. 174-180.

Pod koniec urzędowania B. Clintona sytuacja w regionie wyraźnie się jednak zaogniła. Najpierw w lipcu 2000 r. fiaskiem zakończyły się rozmowy izraelsko-palestyńskie w Camp David, i to pomimo osobistego i bezpośredniego włączenia się w negocjacje amerykańskiego prezydenta. Chociaż strona izraelska zdecydowała się na daleko idące ustępstwa (m.in. zgodzono się na częściowe przekazanie administracji palestyńskiej niektórych dzielnic Wschodniej Jerozolimy oraz oddanie Palestyńczykom aż 95% Terytoriów Okupowanych), to jednak porozumienia z powodu bezkompromisowej postawy Arafata nie osiągnięto. Następnie we wrześniu 2000 r. doszło do wybuchu drugiej intifady, czyli powstania palestyńskiego, które ogarnęło nie tylko tereny okupowane, ale także miasta w Izraelu. Rząd izraelski zdecydował się wysłać czołgi i śmigłowce bojowe przeciwko zbrojnym grupom Palestyńczyków. Uspokojeniu sytuacji nie służyły wystąpienia Arafata, który zapowiadał, że intifada potrwa dopóty, dopóki nad Jerozolimą jako stolicą państwa palestyńskiego nie zawiśnie jego flaga.

I taki stan rzeczy zastał w styczniu 2001 r. nowy prezydent George W. Bush. Początkowo jego administracja sceptycznie podchodziła do możliwości szybkiego rozwiązania konfliktu i dlatego wyraźnie osłabła aktywność Stanów Zjednoczonych w tym regionie. Zlikwidowano nawet stanowisko specjalnego wysłannika USA na Bliski Wschód. Wydawało się, że Waszyngton rezygnuje z roli głównego mediatora w konflikcie izraelsko-palestyńskim³. Trzeba było kilku miesięcy, aby Bush uznał, że stabilizacja sytuacji bliskowschodniej leży w interesie amerykańskim i jedyne supermocarstwo musi powrócić do aktywnej roli w regionie. Dlatego specjalny wysłannik prezydenta USA ponownie przybył na Bliski Wschód. Następnie w sierpniu 2001 r. na forum Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych podjęto szeroką debatę nad sytuacją w regionie bliskowschodnim. Nie doprowadziła ona jednak do ożywienia procesu pokojowego. Raczej umocniła Palestyńczyków w przekonaniu o stronnictwie Waszyngtonu, który sprzyja wyłącznie Izraelowi i jest w równym stopniu co państwo żydowskie odpowiedzialny za ich los.

Po 11 września 2001 r. polityka Busha wobec procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie stała się wypadkową działań prowadzonych w ramach wojny z terroryzmem. Wykorzystał to na początku rząd izraelski, podejmując w ramach walki z terroryzmem ostre represje wobec palestyńskich radykałów. Jednak wkrótce administracja Busha, licząc na poparcie świata arabskiego dla budowanej koalicji antyterrorystycznej, a następnie także antyirackiej, podjęła ofensywę dyplomatyczną. Próbowano nawet wywierać pewną presję na Izrael – między innymi doprowadzono do wypuszczenia Arafata z aresztu domowego w marcu 2002 r., naciskano w sprawie powstrzymania rozbudowy osiedli żydowskich na Zachodnim

³ N.H. Arui, *Dishonest Broker. The USA Role in Israel and Palestine*, Cambridge 2003, s. 197-199; R. Freedman, *The Bush Administration and the Arab-Israeli Conflict: The Record of its First Four Years*, „The Middle East Review of International Affairs” Vol. 9, No 1, March 2005, <http://meria.iede.ac.il/journal/2005/issue1/jv9no1a4.html>.

Brzegu Jordanu, czyli obszarze, który w przyszłości miał wejść w skład państwa palestyńskiego⁴.

Chociaż administracji Busha nie udało się – z różnych powodów, w tym słabnącego autorytetu urzędującego prezydenta Stanów Zjednoczonych – doprowadzić do dalszych, znaczących postępów na drodze rozwiązania konfliktu izraelsko-palestyńskiego, to jednak amerykańscy politycy i dyplomaci właściwie nie ustawali w próbach przełamania impasu w procesie pokojowym. Wymienić wśród nich należy słynną „mapę drogową” z maja 2003 r., której zwieńczeniem miało być państwo palestyńskie, czy konferencję pokojową w Annapolis pod koniec listopada 2007 r. z osobistym udziałem – obok premiera Izraela i przewodniczącego Autonomii Palestyńskiej – także prezydenta Busha⁵.

Zwłaszcza ostatni rok urzędowania Busha wypełniony był bliskowschodnimi projektami pokojowymi, tworzonymi w Waszyngtonie. Podejmowano też kolejne próby mediacji w nasilającym się konflikcie izraelsko-palestyńskim, a przedstawiciele administracji Busha z nadzwyczajną częstotliwością przyjeżdżali do skonfliktowanych stron, aby przełamywać impas. Sam Bush, jako pierwszy amerykański prezydent, odwiedził w styczniu 2008 r. Ramallah, nieoficjalną stolicę Autonomii Palestyńskiej. Wyraził wówczas nadzieję, że do końca jego urzędowania w Białym Domu podpisane zostanie porozumienie, na mocy którego powstanie niepodległe państwo palestyńskie. Obserwując te wzmożone wysiłki administracji amerykańskiej, można było odnieść wrażenie, że prezydent Bush chce w ten sposób odbudować swój autorytet, osłabiony mnóstwem większych i mniejszych błędów, jakie popełniła na arenie międzynarodowej jego administracja. Gdyby Bushowi udało się doprowadzić do istotnego postępu w procesie pokojowym, być może przeszedłby do historii nie tylko jako przywódca, który wywołał nieszczęsną wojnę w Iraku, ale i architekt ważnych rozwiązań pokojowych na Bliskim Wschodzie.

Wszystkie te działania podejmowano bez większego powodzenia. Przyczyna była prosta, zarówno pozycja polityczna Busha, jak i możliwość wpływania na bieg spraw były pod koniec jego urzędowania już tak słabe, że znikła moc sprawcza Waszyngtonu. Co więcej, Bush stał się niewiarygodny dla Palestyńczyków, gdyż – ich zdaniem – zbyt często zajmował stronnice, wyraźnie proizraelskie stanowisko. Sama walka z terroryzmem w świadomości społeczności muzułmańskiej postrzegana była jako wojna z islamem. Zresztą region bliskowschodni pisał własne scenariusze. Na finiszu prezydentury Busha, w grudniu 2008 r., doszło do tragicznej w skutki izraelskiej operacji militarnej „Płynny Ołów” w Strefie Gazy, której celem było rozbięcie radykalnego Hamasu i która pochłonęła ponad 1100 ofiar po stronie

⁴ M. Rączkiewicz, *Polityka Stanów Zjednoczonych w okresie prezydentury G. W. Busha w ujęciu regionalnym*, Toruń 2011, s. 64-65.

⁵ G. Golan, *Israel and Palestine. Peace Plan and Proposals from Oslo to Disengagement*, Princeton 2008.

palestyńskiej⁶. Zbrojna interwencja Izraela w Gazie oznaczała nie tylko fiasko wysiłków mediacyjnych administracji Busha, ale przede wszystkim dramatyczne załamanie w procesie pokojowym na Bliskim Wschodzie. Perspektywa rozwiązania sporu izraelsko-palestyńskiego wydawała się po operacji w Gazie jeszcze bardziej odległa.

BARACK OBAMA WOBEC KONFLIKTU BLISKOWSCHODNIEGO

Konflikt izraelsko-palestyński należał do najważniejszych problemów, które „w spadku” po poprzednikach, a zwłaszcza po G. W. Bushu przejął Barack Obama. Nie dziwiła więc krytyka, z jaką wobec bliskowschodniej polityki Busha wystąpił nowy prezydent, zarzucając poprzednikowi nieskuteczność oraz złe rozłożenie akcentów – sprzyjanie przede wszystkim Izraelowi i utratę zaufania strony palestyńskiej/arabskiej, co ani nie pomogło Izraelowi osiągnąć pokoju, ani Stanom Zjednoczonym zyskać sympatii świata islamu. Sam Obama natomiast zapowiedział, że rozwiązanie konfliktu bliskowschodniego będzie stanowiło jeden z głównych priorytetów jego polityki zagranicznej i osiągnięte zostanie „inną drogą”⁷.

Niemal nazajutrz po objęciu prezydentury w styczniu 2009 r. Obama powołał swego specjalnego wysłannika na Bliski Wschód, którym został doświadczony dyplomata George Mitchell, były senator, negocjujący swego czasu z sukcesem porozumienie pokojowe w Irlandii Północnej. Ten szybki akt nowego prezydenta znalazł uznanie w stolicach państw europejskich, gdzie z rosnącym niepokojem obserwowano fiasko wysiłków Busha, potwierdzające spadek prestiżu Ameryki i drastyczne osłabienie skuteczności jej działań, zwłaszcza w rozwiązywaniu konfliktów. Warto w tym kontekście podkreślić, że to państwa europejskie (Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania i Czechy), a nie Stany Zjednoczone odegrały rolę mediatora i doprowadziły do podpisania porozumienia, kończącego w styczniu 2009 r. wojnę w Strefie Gazy. Dlatego teraz to niemal natychmiastowe włączenie się dyplomacji amerykańskiej do działań na Bliskim Wschodzie odbierano w Europie z pełną akceptacją, a w regionie z ogromną nadzieją.

Wydawało się więc, że prezydent Obama, zapowiadający „własną drogę” rozwiązania konfliktu izraelsko-palestyńskiego, okaże się bardziej skuteczny i wiarygodny niż G. W. Bush. Ogromne nadzieje i oczekiwania, jakie świat wiązał z nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych, odnosiły się również do Bliskiego Wschodu i jego problemów. Podobnie jak wobec innych wyzwań i zadań, które stanęły przed administracją Obamy – choćby załamania w stosunkach transatlantycznych, pogarszającej się sytuacji w Afganistanie i zbyt długo już trwającego

⁶ Zob. szerzej: J. Kiwerska, *Świat w latach 1989-2009. Wydarzenia – konflikty – procesy*, Poznań 2009, s. 207-217.

⁷ M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O'Hanlon, *Bending History. Barack Obama's Foreign Policy*, Washington 2012, s. 116-117.

zaangażowania Amerykanów w Iraku – spodziewano się skutecznych działań Waszyngtonu, tak samo czekano na konstruktywne propozycje i przełomowe rozstrzygnięcia w konflikcie izraelsko-palestyńskim⁸.

Tymczasem nowy gospodarz Białego Domu przyjął linię postępowania, zgodnie z którą dla rozwiązania konfliktu bliskowschodniego konieczne jest symbiotyczne połączenie *peacemaking* i *public diplomacy*. Innymi słowy, jeśli Ameryce uda się poprawić swój wizerunek na Bliskim Wschodzie i swe relacje ze światem muzułmańskim, to wówczas będzie można skutecznie włączyć przywódców arabskich w proces budowania pokoju na Bliskim Wschodzie oraz szybciej doprowadzić do pozytywnych rozstrzygnięć. I dalej – rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego służyć będzie umocnieniu pozycji Stanów Zjednoczonych w świecie islamu⁹. Trudno było odmówić racji takim założeniom, szczególnie zważywszy na złą reputację, jaką Ameryka cieszyła się w społeczności muzułmańskiej po „erze Busha”, i to nie tylko na Bliskim Wschodzie. Przypomnijmy, społeczność ta była przekonana, że wojna z terroryzmem to w rzeczywistości wojna z islamem, a prawdziwe podejście Amerykanów do muzułmanów wyrażają Abu Ghraib i więzienie w Guantanamo.

Chcąc przywrócić dobrą markę Stanów Zjednoczonych w świecie muzułmańskim, Obama zdecydował się na odmienną niż dotychczas perspektywę. Inaczej niż wielu poprzednich prezydentów, zwłaszcza G. W. Bush, ale też wcześniej B. Clinton, nowy gospodarz Białego Domu postanowił głośniejszemu artykułować punkt widzenia Palestyńczyków, wyraźniej i skuteczniej popierać ich postulaty. Zresztą zwiastuny tego dostrzec można było już w czasie kampanii wyborczej. Wprawdzie kandydat Partii Demokratycznej, zabiegając o głosy wyborców, spotykał się – jak to było w zwyczaju – z amerykańskimi Żydami, w tym z *American Israel Public Affairs Committee*, powszechnie uchodzącym za eksponenta interesów „lobby izraelskiego”¹⁰, odbył nawet w lipcu 2008 r. podróż do Izraela. Jednak w jego wystąpieniach pojawiły się wówczas pewne akcenty pro-palestyńskie, gdy na przykład zarzucał Bushowi zbytnie sprzyjanie Izraelowi lub krytykował izraelską politykę osadnictwa na terenach okupowanych. Jednocześnie na Baracka Obamę zagłosowało blisko 78 proc. Amerykanów pochodzenia żydowskiego, a ponad 1/3 funduszu wyborczego kandydata demokratów pochodziła z dotacji społeczności żydowskiej¹¹.

⁸ Zob. M.S. Indyk, K.M. Pollack, *Memo to the President: Renew Diplomacy in the Middle East*, www.brookings.edu/papers/2009/0105_middle_east_memo.aspx?p=1.

⁹ Szerzej: M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O'Hanlon, *op. cit.*, s. 112-113.

¹⁰ Zob. interesująco na ten temat J.J. Mearsheimer, S.M. Walt, *Lobby izraelskie w USA*, Warszawa 2011, s. 133 i n. (wyd. angielskie: *The Israel Lobby and U.S. Foreign Policy*, London 2007).

¹¹ R. Kampeas, *Democrats Launch Major Pro-Obama Pushback among Jews*, June 7, 2011; www.jta.org/news/article/2011/06/07/3088053/democrats-launch-major-pro-obama-pushback-among-jews.

Trudno jednoznacznie przesądzić, czy wpływ na to miał fakt, że Obama nie tylko jest pierwszym prezydentem afroamerykańskim, w dosłownym znaczeniu, ale też legitymuje się muzułmańskim *backgroundem*: pochodzący z Kenii ojciec był muzułmaninem, stąd drugie imię prezydenta – Barack Husajn Obama, on sam zaś dzieciństwo spędził w islamskiej Indonezji, dokąd przeniosta się jego matka. W każdym razie Obama uznał, że jego „własna droga” w polityce bliskowschodniej to utrzymanie pewnego dystansu wobec Izraela i większa wrażliwość na racje Palestyńczyków.

Z takim założeniem prezydent Obama włączył się w wysiłki pokojowe na Bliskim Wschodzie i niemal natychmiast wpłynęło to na styl oraz charakter jego działania. Dowodziła tego atmosfera i przebieg pierwszego spotkania prezydenta Obamy z izraelskim premierem Beniaminem Netanjahu. Tych dwóch przywódców, choć ukończyli tę samą amerykańską uczelnię – Harvard University, dzieliło wiele: Netanjahu to twardy prawnik z partii Likud, były żołnierz armii izraelskiej, przekonany, że polityka i przewodzenie państwu musi się opierać na sile i determinacji, a wobec Palestyńczyków trzeba być twardym. Natomiast bliższy amerykańskiej lewicy Obama, legitymujący się profesorskim doświadczeniem, był przywiązany do myśli, że większość sporów daje się rozwiązać rozmowami i negocjacjami, a nawet wrogom warto proponować dialog i porozumienie.

Gdy więc ci dwaj liderzy spotkali się pierwszy raz 18 maja 2009 r. w Waszyngtonie, owe różnice poglądów szybko się ujawniły, wpływając na przebieg rozmów. Prezydent Obama mówił o konieczności utworzenia państwa palestyńskiego, premier Netanjahu wyraził wprawdzie gotowość rozmów z Palestyńczykami, ale o państwie palestyńskim nie wspominał. Prezydent USA żądał (*sic!*) wstrzymania budowy nowych osiedli żydowskich na Zachodnim Brzegu Jordanu, natomiast premier Izraela potwierdził zamiar kontynuowania osadnictwa na obszarach, które – jak zakładano – w przyszłości powinny znaleźć się w granicach państwa palestyńskiego. Jeśli jeszcze dodać, że obaj przywódcy nie zdołali wypracować dobrych relacji osobistych, ważnych i wielce pomocnych, zwłaszcza w realiach bliskowschodnich, to nie dziwi fakt, że atmosfera tego spotkania pozbawiona była tradycyjnego w stosunkach amerykańsko-izraelskich tonu kordialności¹². W efekcie między Obamą a Netanjahu nie wytworzył się klimat wzajemnego zaufania, zrozumienia i współpracy. A przecież wiadomo nie od dziś, jak znaczące i kluczowe w budowaniu pokoju na Bliskim Wschodzie jest współdziałanie Stanów Zjednoczonych oraz Izraela.

¹² Zob. wypowiedź Martina S. Indyka, byłego, dwukrotnego ambasadora USA w Izraelu, później doradcy Obamy oraz specjalisty ds. bliskowschodnich w *Brookings Institution*, który twierdził, że prezydent Obama nie buduje bliskich relacji osobistych, taki ma charakter, w: N. Barnea, *What Obama Doesn't Understand About Israel and the Middle East*, May 28, 2012; www.brookings.edu/research/interviews/2012/05/28-middle-east-indyk.

Ten rozdzwięk w stanowisku przywódcy amerykańskiego i premiera Izraela pogłębił się po słynnym przemówieniu prezydenta Obamy na uniwersytecie w Kairze 4 czerwca 2009 r. Skierowane przede wszystkim do świata muzułmańskiego, zawierało też akcenty odnoszące się do strony izraelskiej, które – jak się okazało – przesądziły w dużym stopniu o roli dyplomacji amerykańskiej i możliwościach jej działania na Bliskim Wschodzie, zwłaszcza w odniesieniu do konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Amerykański prezydent deklarował: „Chcę nowego początku w stosunkach między Stanami Zjednoczonymi a muzułmanami na całym świecie”. Odrzucał stereotyp, że islam i Ameryka są dla siebie wrogami – „mamy wspólne wartości: sprawiedliwość i postęp, tolerancja i godność człowieka. Ameryka nie jest i nigdy nie będzie w stanie wojny z islamem” – przekonywał Obama. Jednak odnosząc się do konfliktu izraelsko-palestyńskiego, wprowadzić podkreślił „silne więzy, które łączą USA z Izraelem”, ale równocześnie uznał, że musi powstać państwo palestyńskie i w ostrym tonie oświadczył: Stany Zjednoczone „nie akceptują budowy kolejnych osiedli żydowskich” na Zachodnim Brzegu Jordanu¹³. Ta ostatnia deklaracja wywołała – warto to podkreślić – szczególną owację zgromadzonego na kairskim uniwersytecie tłumu.

Trudno nie dostrzec wagi przesłania amerykańskiego prezydenta. Miało ono otworzyć nowy rozdział w relacjach Stanów Zjednoczonych ze światem muzułmańskim, tak zresztą zostało nazwane: *A New Beginning*, jednak kategoryczne stawianie sprawy osadnictwa żydowskiego, podobnie jak sugerowanie, że istnienie państwa żydowskiego jest zadośćuczynieniem za *Holocaust*, a nie historycznie przysługującym Żydom prawem, zostało bardzo negatywnie odebrane w Izraelu¹⁴. Zamiast stworzyć lepsze perspektywy dla procesu pokojowego, tylko wzmocniło dysonans między Waszyngtonem a Jerozolimą, gdyż uderzało w niezwykle czułe punkty tożsamości Izraela i jego szczególną wrażliwość na własne interesy bezpieczeństwa. Już sam fakt, że tak ważne wystąpienie prezydenta Stanów Zjednoczonych, zawierające odwołania także do konfliktu izraelsko-palestyńskiego, miało miejsce w Kairze, potraktowano w Izraelu jako dyshonor. Tym bardziej że na trasie ówczesnej podróży prezydenta Obamy po Bliskim Wschodzie nie znalazło się państwo żydowskie.

Co więcej, odwiedzający ponownie Waszyngton w lipcu 2009 r. premier Netanjahu, prezentujący nieustępliwość wobec żądań Obamy, został potraktowany przez administrację amerykańską niczym niechciany gość, a nie jak demokratycznie

¹³ White House, Office of the Press Secretary, *Remarks by the President on a New Beginning*, Cairo University, June 4, 2009; www.whitehouse.gov/the-press-office/remarks-president-cairo-university-6-04-09. Jak twierdzi M. S. Indyk, towarzyszący wówczas Obamie w Kairze, prezydent, który był autorem tego przemówienia, wygłosił je w takiej właśnie formie wbrew sugestiom doradców; N. Barnem, *What Obama Doesn't Understand...*

¹⁴ W ten sposób Obama odszedł od obowiązującej w Izraelu i uznawanej w USA narracji, według której Żydzi powrócili do swej starożytnej, biblijnej ojczyzny, do której mają pełne prawo.

wybrany przywódca państwa żydowskiego, z którym Stany Zjednoczone łączą – choćby ze względu na wielomilionową społeczność amerykańskich Żydów – szczególne więzy. Dopełniło to w oczach Izraelczyków złe wrażenia powstałe po wystąpieniu Obamy w Kairze¹⁵. Do tego dochodziły też inne fakty, może o mniejszej wadze politycznej, jednak wielce wymowne i dlatego bulwersujące izraelską opinię publiczną. Na przykład to, że swojego pierwszego wywiadu dla zagranicznej stacji telewizyjnej jako amerykański prezydent Obama udzielił telewizji *al Arabija*, natomiast dopiero 18 miesięcy później rozmowę z nim mogła przeprowadzić izraelska stacja.

Takimi gestami Barack Obama nie zyskał sympatii w Izraelu. Niechęć do amerykańskiego prezydenta przekładała się na rosnące poparcie izraelskiej opinii publicznej dla premiera Netanjahu, twardo opierającego się żądaniom powstrzymania osadnictwa żydowskiego na okupowanym Zachodnim Brzegu Jordanu. W Izraelu utwierdziło się nawet przekonanie o „obsesji Obamy na tle osadników”. Rzeczywiście, choć osiedla żydowskie na Terytoriach Okupowanych, będąc od lat jedną z głównych kwestii spornych, utrudniających postęp w procesie pokojowym, stanowiły przedmiot uwagi także poprzednich przedstawicieli administracji amerykańskiej, to jednak nikt wcześniej tak ostro i stanowczo tej kwestii wobec Izraela nie stawiał, pomijając niemal zupełnie geopolityczne uwarunkowania problemu, czyli bezpieczeństwo granic Izraela trudnych do obronienia w wymiarze terytorialnym sprzed 1967 r.¹⁶

A już tym bardziej nie określano – tak jak uczynił to prezydent Obama, choćby występując w Kairze – osadnictwa żydowskiego jako działania „bezprawnego” (*illegitimate*)¹⁷. Teraz nie tylko artykułując, ale niemal utożsamiając się z punktem widzenia Palestyńczyków, prezydent Obama drastycznie nadwerżył zaufanie strony izraelskiej¹⁸. Znany żydowski publicysta Amnon Lord dowodził, że „Amerykanie najwyraźniej nie potrafią teraz wsłuchać się w głos Izraelczyków”. Choć takie opinie w dużej mierze wynikały z nadwrażliwości żydowskich mieszkańców Izraela, to jednak dowodziły one powstania sytuacji bezprecedensowej w relacjach amerykańsko-izraelskich.

Odnosiło się to także do różnic w ocenie irańskiego programu nuklearnego, będącego jednym z głównych wyzwań dla Izraela w zakresie bezpieczeństwa. Oferta prezydenta Obamy, skierowana w marcu 2009 r. do Teheranu, aby rozpocząć dialog z reżimem ajatollahów bez warunków wstępnych, przyjęta została w Izraelu z zaskoczeniem i wielkim sceptycyzmem¹⁹. Nie rozumiano też, dlaczego prezydent

¹⁵ Zob. M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O'Hanlon, *op. cit.*, s. 139.

¹⁶ Zob. szerzej J. Kiwerska, *Świat w latach 1989-2009...*, s. 166 i n.

¹⁷ Zob. M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O'Hanlon, *op. cit.*, s. 120.

¹⁸ Sondaż przeprowadzony po wystąpieniu Obamy w Kairze pokazał, że tylko 6% Izraelczyków uważa prezydenta za proizraelskiego, wobec 50% oceniających go jako propalestyńskiego: cyt. w: „Jerusalem Post” 27.05.2011.

¹⁹ W tym kontekście warto dodać, że niejako w odpowiedzi na amerykańską ofertę wobec Teheranu

Obama unika podnoszenia kwestii działań radykalnej organizacji Hamas, która przecież odmawia uznania państwa Izrael i nie chce wyrzec się terroru. Nie odnosi się też krytycznie – inaczej niż poprzedni gospodarze Białego Domu – do żądań powrotu potomków uchodźców palestyńskich w granice przyszłego państwa palestyńskiego. Wywoływało to oburzenie Izraelczyków, gdyż – w ich przekonaniu – dowodziło fundamentalnego braku zrozumienia dla problemów i zagrożeń, z którymi boryka się państwo żydowskie.

W tej sytuacji mniej istotne wydawały się takie fakty, jak utrzymanie przez administrację Obamy strategicznej pomocy dla Izraela w wysokości 30 mld dol. rocznie i przyznanie dodatkowych środków finansowych na system raketowy, chroniący ludność cywilną Izraela przed atakami ze strony radykalnych organizacji – Hamasu i Hezbollahu. Ponadto Biały Dom zalecił kontynuowanie współpracy w zakresie bezpieczeństwa amerykańskich służb i instytucji z ich izraelskimi odpowiednikami²⁰. Wszystko po to, aby dowieść, że bezpieczeństwo Izraela pozostaje jednym ze strategicznych priorytetów Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie. Te czynniki wydawały się mniej ważyć w ocenie działań amerykańskiego prezydenta. W odbiorze wypowiedzi i gestów prezydenta Obamy dominowało raczej wrażenie o rozejściu się perspektywy amerykańskiej i izraelskiej. Ze szkodą dla pozycji i rangi Stanów Zjednoczonych wśród żydowskich mieszkańców Izraela, ale przede wszystkim – zdolności amerykańskiej dyplomacji oddziaływania na bieg spraw bliskowschodnich.

Odnosząc się bowiem do taktyki Waszyngtonu, komentatorzy pisali, że formułując w sposób tak kategoryczny oczekiwania wobec Izraela, w większości nierealistyczne, gdyż dotyczące bezpośrednio kwestii bezpieczeństwa jego terytorium, administracja Obamy, zamiast wzmocnić swe możliwości wpływania na politykę Izraela, utraciła zdolność oddziaływania na jego strategię. W tym momencie mniejsze znaczenie dla powodzenia wysiłków pokojowych miał fakt, że specjalny wysłannik na Bliski Wschód – G. Mitchell uzyskał od prezydenta USA plenipotencje, aby kwestię osadnictwa żydowskiego w poufnych rozmowach traktować bardziej elastycznie, a nie tak kategorycznie, jak on sam to uczynił²¹. Tymczasem usztywnienie strony izraelskiej w reakcji na oficjalnie stawiane przez prezydenta Obamę żądania było faktem niepodważalnym, utrudniającym jakiegokolwiek negocjacje.

Z kolei Palestyńczycy, podbudowani publicznymi obietnicami i deklaracjami prezydenta Obamy, nie zamierzali w niczym ustępować. Domagali się przede wszystkim całkowitego zamrożenia osadnictwa żydowskiego na spornym terytorium. Powstał pat trudny do przezwyciężenia. Gdy więc pomimo wszystko po 18

oraz w reakcji na kairskie wystąpienie Obamy przywódca duchowy Iranu – Chamanei mówił o zniechęceniu Ameryce.

²⁰ Zob. M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O'Hanlon, *op. cit.*, s. 118.

²¹ Tamże, s. 115.

miesiącach wysiłków negocjacyjnych Mitchella, wspieranego przez Hosni Mubarakę, prezydenta Egiptu (*sic!*) i Abdullaha, króla Jordanii, doszło wreszcie, we wrześniu 2010 r., do rozmów premiera Netanjahu z Mahmudem Abbasem, przywódcą Autonomii Palestyńskiej, szybko zakończyły się one fiaskiem. Do stołu negocjacyjnego strony już nie wróciły, postępu w ożywieniu procesu pokojowego nie było, mimo że sekretarz stanu Hillary Clinton zapowiadała *substantive two-way conversations*, które pozwolą przygotować grunt dla dalszych bezpośrednich negocjacji²². Te zapowiedzi pozostały tylko deklaracjami.

Natomiast pojawiły się nowe zawirowania na linii Waszyngton – Tel Awiw. Z jednej strony decyzje władz izraelskich o budowie kolejnych osiedli żydowskich, m.in. we Wschodniej Jerozolimie, uważanej przez Palestyńczyków za stolicę ich przyszłego państwa, nie tylko zaoğniały sytuację w regionie, ale przede wszystkim jeszcze bardziej pogorszyły stosunki między Izraelem a Stanami Zjednoczonymi. Dalsza dynamika wydarzeń również nie sprzyjała zbliżeniu stanowisk obu państw. Stronę żydowską wzburzyła opinia prezydenta Obamy z 19 maja 2011 r., że granica przyszłego państwa palestyńskiego z Izraelem powinna opierać się na „linii z 1967 roku”²³. Ta wypowiedź zdominowała spotkanie Obamy z Netanjahu, który następnego dnia przybył do Waszyngtonu. Nie chodziło tylko o to, że tak ważne oświadczenie padło, zanim panowie mogli je wspólnie przedyskutować, a okazja była, wystarczyło tylko kilka godzin zaczekać. Przede wszystkim problem dotyczył już bezpośrednio kwestii bezpieczeństwa terytorium Izraela, czyli żywotnych interesów państwa żydowskiego. Nie wchodząc w zawiłości tego problemu, wystarczy zauważyć, że wiązał się on zarówno ze sprawą osadnictwa żydowskiego na Zachodnim Brzegu Jordanu – mieszka tam, jeśli wliczyć też Wschodnią Jerozolimę, ponad 500 tys. Żydów, jak i strategicznych możliwości zabezpieczenia granicy. „Ta linia sprzed kilku dekad byłaby dla Izraela nie do obronienia. A my, panie prezydencie, nie możemy pozwolić sobie na duże błędy, bo historia nie da narodowi żydowskiemu drugiej szansy” – stwierdził podczas wspólnej konferencji prasowej premier Netanjahu, oddając istotę troski strony izraelskiej²⁴.

W efekcie nastąpiło dalsze ochłodzenie w stosunkach amerykańsko-izraelskich. Gdy w rezultacie braku perspektyw dla powodzenia swej misji rezygnację z funkcji specjalnego wysłannika na Bliski Wschód złożył pod koniec maja 2011 r. G. Mitchell²⁵, a następnie prezydent Obama poinstruował swych dyplomatów, aby

²² H. Clinton, *Remarks at the Brookings Institution's Saban Center for Middle East Policy seventh Annual Forum*, December 10, 2010, www.state.gov/secretary/rm/2010/12/152664.html.

²³ White House, Office of the Press Secretary, *Remarks by President Obama on Middle East and North Africa*, May 19, 2011; www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/05/19/remarks-president-middle-east-and-north-africa.

²⁴ White House, Office of the Press Secretary, *Remarks by President Obama and Prime Minister Netanyahu after Bilateral Meeting*, May 20, 2011; www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/05/20/remarks-president-obama-and-prime-minister-netanyahu-israel-after-bilate.

²⁵ Do dymisji G. Mitchell podał się już w kwietniu 2011 r., wcześniej w grudniu 2010 r. odbył ostatnią, zakończoną niczym, podróż na Bliski Wschód. Jednak dopiero 5 tygodni później Biały Dom

nie angażowali się w zabiegi o ożywienie procesu pokojowego, to w sprawach bliskowschodnich nastąpił całkowity impas. Powstało wrażenie, że żadnych poważniejszych działań administracja Obamy nie podejmie przed listopadem 2012 r., czyli wyborami prezydenckimi w Stanach Zjednoczonych. Prowadząc politykę bliskowschodnią „na swój sposób” i popełniwszy na tej drodze wiele błędów – co przyznawali nawet zwolennicy prezydentury Obamy – poniósł on dotkliwą porażkę. Co więcej, podważył wiarygodność Stanów Zjednoczonych jako mediatora w konflikcie izraelsko-palestyńskim²⁶.

Można zatem zadać pytanie, czy wobec tego prezydent Obama otrzymał przynajmniej rekompensatę w postaci poprawy relacji ze światem muzułmańskim, o co przecież zabiegał i co legło u podstaw jego bliskowschodniej polityki. Odpowiedź może być zaskoczeniem. Okazuje się bowiem, że taktyka Obamy nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Wprawdzie przemówienie kairskie w czerwcu 2009 r. zostało bardzo pozytywnie przyjęte nie tylko w Egipcie, ale również w wielu krajach muzułmańskich – w Kairze słuchały go tysiące ludzi, transmitowały najważniejsze stacje telewizyjne świata muzułmańskiego, Biały Dom szeroko kolportował je nie tylko w języku angielskim, ale również arabskim, perskim i urdu²⁷. Starano się więc wykreować przesłanie Obamy na symbol nowego rozdziału w relacjach Stanów Zjednoczonych ze światem islamu. Pozytywnie oceniali je przywódcy Ligi Arabskiej i niektórzy przedstawiciele arabskiej elity intelektualnej. Ale już wówczas wyrażano zastrzeżenia, że amerykański prezydent „nie powiedział nic, co zaskoczyłoby obserwatorów jego prezydentury”²⁸. Powątpiewając w możliwość wcielenia postulatów w życie, wpisywano przemówienie Obamy w cykl pięknych słów i wzniosłych haseł, trudnych do realizacji. Najbardziej krytyczne stanowisko zajęły radykalne ugrupowania palestyńskie, z Hamasem na czele. W ich oświadczeniu napisano, że jest to „próba oszustwa i stworzenia iluzji, by poprawić obraz Ameryki w świecie”²⁹.

Z czasem można było odnieść wrażenie, że sceptycyzm wyrażany w komentarzach znajduje pełne potwierdzenie w faktach. W grę bowiem wchodziła wyraźna niekonsekwencja administracji amerykańskiej w odniesieniu do sporu izraelsko-palestyńskiego. Najlepszym tego przykładem były losy obietnicy o powstaniu państwa palestyńskiego. Pojawiła się ona zarówno w mowie kairskiej Obamy, jak i padała przy innych okazjach. Ponadto deklaracja amerykańskiego prezydenta,

poinformował oficjalnie o tym fakcie; zob. komentarz na ten temat: S.L. Myers, *Amid Impasse in Peace Negotiations, America's Chief Middle East Envoy Resigns*, „New York Times” 13.05.2011.

²⁶ Zob. M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O'Hanlon, *op. cit.*, s. 137 i n.

²⁷ Z sondażu przeprowadzonego przez Zogby International wynikało, że w Egipcie poparcie dla Stanów Zjednoczonych wzrosło z 9% w 2008 r. (pod koniec urzędowania Busha) do 30%; w Maroku – z 26% do 55%; cyt. „Gazeta Wyborcza” 18.07.2011.

²⁸ Zob. wypowiedź Gerszona Baskina z Izraelsko-Palestyńskiego Centrum Badań i Informacji w Jerozolimie, „Gazeta Wyborcza” 5.06.2009.

²⁹ Cyt. „Gazeta Wyborcza” 5.06.2009.

złożona we wrześniu 2010 r. na forum Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, że już w następnym roku osiągnie się porozumienie, „które wprowadzi do ONZ nowego członka – niepodległe, suwerenne państwo Palestynę, żyjące w pokoju z Izraelem”³⁰, została dość jednoznacznie odebrana przez przywódców Autonomii Palestyńskiej oraz cały niemalże świat arabski. Uznano, że prezydent Stanów Zjednoczonych otworzył Palestynie jako suwerennemu państwu w bliskiej już perspektywie drzwi do ONZ. Było to o tyle znaczące, że dotychczas większość państw członkowskich Narodów Zjednoczonych sprzyjała Palestyńczykom; USA były właściwie jedynym państwem, które konsekwentnie wspierało Izrael i w obronie jego interesów stosowało weto w Radzie Bezpieczeństwa. Teraz, zachęceni słowami Obamy, przywódcy palestyńscy zamierzali we wrześniu 2011 r. ubiegać się o członkostwo państwa palestyńskiego w ONZ (czyli *de facto* wnioskować o uznanie swej niepodległości na forum ONZ). Byli przekonani, że po swojej stronie będą mieli Stany Zjednoczone³¹.

Tymczasem prezydent Obama zastosował kolejny, bardzo charakterystyczny dla swej prezydentury „zwrot” i już w maju 2011 r. zapowiedział weto wobec wniosku Palestyńczyków o członkostwo w ONZ (wcześniej zawetował rezolucję Rady Bezpieczeństwa NZ potępiającą izraelską politykę osadnictwa). Zrozumiał bowiem, że byłoby to opowiedzenie się jednoznacznie po stronie Palestyńczyków, a w wyraźnej opozycji wobec Izraela. Na to w obliczu przyszłej walki o reelekcję, w której liczył na poparcie amerykańskich Żydów, nie mógł sobie pozwolić. Dlatego jego kolejne wystąpienie na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ we wrześniu 2011 r. miało już zupełnie inny wydźwięk, niż rok wcześniej. Koncentrowało się na kwestii bezpieczeństwa Izraela, znajdującego się w trudnym położeniu geopolitycznym oraz odwoływało do historycznego doświadczenia Żydów. Amerykański prezydent mówił: „Izrael jest otoczony przez sąsiadów, którzy wywoływali wojny. Obywatele Izraela ginęli od pocisków raketowych, wystrzeliwanych na ich domy, zabijani byli w samobójczych atakach (...). Izrael to mały kraj, który wielu przywódców znacznie większych narodów chciałoby wymazać z mapy”³². To wystąpienie przyjęto z zadowoleniem w Izraelu, a także wywołało ono uznanie Żydów w Ameryce, natomiast rozczarowało Palestyńczyków i świat arabski. W zasadzie przesądziło o niepowodzeniu w tym momencie planów kreślonych przez przywódców Autonomii Palestyńskiej³³.

³⁰ White House, Office of the Press Secretary, *Remarks by President Obama to the United Nations General Assembly*, September 23, 2010, www.whitehouse.gov/the-press-office/2010/09/23/remarks-president-united-nations-general-assembly.

³¹ Zob. wypowiedź M.S. Indyka w: N. Barnem, *What Obama Doesn't Understand...*

³² White House, Office of the Press Secretary, *Remarks by President Obama to the United Nations General Assembly*, September 21, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/09/21/remarks-president-obama-address-united-nations-general-assembly.

³³ Zob. I. Sharqieh, *United States Must Vote in Favor or Abstain*, September 21, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0921_un_palestine_sharqieh.aspx?p=1.

Palestyńczycy nie mieli więc swojego państwa, na razie nawet przedstawicielstwa w ONZ, a Izrael utrzymał swą twardą linię działania wobec Autonomii Palestyńskiej i jej żądań. Co gorsza, brak było widoków na wznowienie negocjacji izraelsko-palestyńskich. Taktyka Obamy okazała się zupełnie nieskuteczna. Z jednej strony doprowadziła do pogorszenia relacji z Izraelem, co utrudniało wywalczenie jakiegos kompromisu, z drugiej – rozczarowała społeczność palestyńską/arabską, bo nie przyniosła realizacji zapowiadanych celów. W świecie arabskim zaczęła się więc upowszechniać ocena działań Białego Domu, sformułowana wcześniej przez palestyńskich radykałów – polityka zakłamana, stronnicza i wielce rozczarowująca. Takiej opinii z pewnością nie mogło zmienić zachowanie amerykańskiej dyplomacji wobec wniosku zgłoszonego ponownie przez Palestyńczyków o nadanie Autonomii Palestyńskiej statusu państwa nieczłonkowskiego ONZ. W głosowaniu na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ pod koniec listopada 2012 r. Stany Zjednoczone znalazły się obok Izraela wśród grupy zaledwie 9 państw, które były przeciw przyjęciu tego wniosku. Aż 138 krajów go poparło, a 41 wstrzymało się od głosu (m.in. Polska).

Amerykańskiemu prezydentowi nie udało się pozyskać sympatii społeczności muzułmańskiej/arabskiej ani dla Stanów Zjednoczonych, ani w odniesieniu do jego osoby. Przyznawali to nawet analitycy związani z Partią Demokratyczną, wśród nich uchodzący za czołowego eksperta ds. bliskowschodnich, były dwukrotny ambasador Stanów Zjednoczonych w Izraelu – Martin S. Indyk. W rozmowie z izraelskim dziennikarzem w maju 2012 r. przyznał, że prezydent Obama nie zyskał zaufania świata muzułmańskiego, którego tak naprawdę nie rozumiał³⁴. Arabska społeczność mniej bowiem dbała o to, czy Stany Zjednoczone utrzymają dystans wobec Izraela, natomiast byłaby bardziej zadowolona, gdyby dobre relacje na linii Waszyngton – Tel Awiw zaowocowały realizacją obietnic, składanych przez Obamę, przede wszystkim doprowadziły do powstania państwa palestyńskiego.

W efekcie wytworzyła się sytuacja zaskakująca – wskaźnik sympatii do Stanów Zjednoczonych w świecie arabskim spadł poniżej poziomu z czasów końca prezydentury G. W. Busha i wynosił – według sondażu przeprowadzonego w lipcu 2011 r. – około 10%³⁵. Jakkolwiek na te wyniki wpłynęła również ocena działań administracji Obamy wobec „arabskiej wiosny” i zarzuty o zbytnią opieszałość w reagowaniu na wydarzenia w Afryce Północnej³⁶, to jednak decydujące znaczenie

³⁴ M.S. Indyk zwrócił uwagę w cytowanej rozmowie na cechy osobowości Obamy, utrudniające mu odnalezienie się w realiach Bliskiego Wschodu. Amerykański analityk twierdził: „Jego zimne, analityczne i wyniosłe podejście nie pasuje do bliskowschodniego klimatu”. Cyt. w: N. Barnem, *What Obama Doesn't Understand...*

³⁵ Cyt. „Gazeta Wyborcza” 18.07.2011.

³⁶ Zob. szerzej: J. Kiwerska, *Stany Zjednoczone wobec kryzysów regionalnych – aspekt transatlantycki*, IZ „Policy Papers” nr 7, Poznań 2013, s. 38-39, 50. Tam też zob. wyjaśnienie tzw. islamskiego dylematu, s. 37 i n. Zob. też S. Hamid, *Middle East Lost*, November 5, 2012. www.brookings.edu/research/articles/2012/11/05-middle-east-hamid?cid=em_a.

miała polityka Waszyngtonu w odniesieniu do kwestii palestyńskiej. Z perspektywy świata muzułmańskiego prezydent Obama okazał się nie tylko nieskuteczny, ale przede wszystkim niewiarygodny, zawiódł zaufanie Palestyńczyków – najpierw wiele obiecał, aby następnie dokonać zwrotu lub szukać kompromisu. W rezultacie pozostawił sprawę bez rozwiązania, a strony sporu niezadowolone.

Krytycznie pod adresem amerykańskiego prezydenta wypowiedano się także w Izraelu. Bo choć administracja Obamy utrzymała, a nawet w niektórych sferach zwiększyła pomoc strategiczną dla państwa żydowskiego, to jednak swą polityką, uważaną za propalestyńską, pozbawioną wrażliwości na interes państwa żydowskiego, a zwłaszcza na jego bezpieczeństwo, prezydent nie zyskał sympatii ani przywódców Izraela, ani izraelskiej opinii publicznej. Co więcej, wprowadził relacje amerykańsko-izraelskie w stan groźnego zawirowania, co w dziejach stosunków Stanów Zjednoczonych z państwem żydowskim było w takim wymiarze sytuacją niemal bez precedensu. Znamienny w tym kontekście był fakt, że premier Netanjahu dość ostentacyjnie wspierał konkurenta Obamy w wyborach 2012 r. – Mitta Romneya, który zresztą w trakcie kampanii wyborczej odwiedził Jerozolimę, aby tam wyrazić poparcie dla strony izraelskiej. Ta nieukrywana niechęć premiera Izraela do urzędującego prezydenta tylko powiększała dystans między obu politykami, osłabiając perspektywy rozwiązania konfliktu.

Chociaż trudno było odpowiedzialnością za taki stan rzeczy obarczać wyłącznie stronę amerykańską, bo przecież także premier Netanjahu nie wykazał się pożądaną otwartością na kompromis, szczególnie w odniesieniu do sugestii powstrzymania osadnictwa żydowskiego, to jednak taktyczne błędy prezydenta USA miały nieporównywalnie większą siłę rażenia. Tak więc okazał się bilans polityki administracji amerykańskiej pierwszych czterech lat urzędowania Obamy. Najgorsze, że ten kryzys w relacjach amerykańsko-izraelskich spowodował nieskuteczność dyplomacji Waszyngtonu wobec konfliktu bliskowschodniego. „Nigdzie w polityce zagranicznej Obamy nie ma większej przepaści między tym, co obiecano a tym, co osiągnięto, niż w odniesieniu do Bliskiego Wschodu” – pisał M. S. Indyk³⁷. Wydaje się, że trudno o trafniejszą ocenę.

Podobnie trzeba zgodzić się z opinią, że nieskuteczna taktyka Obamy spowodowała utratę zaufania do niego, i to po obu stronach konfliktu. Jednak w przeciwieństwie do Palestyńczyków, którzy już wielokrotnie w historii wąpili w bezstronność amerykańskiego mediatora, w przypadku Izraela i jego przywódców była to sytuacja niemalże wyjątkowa. Dotychczas politycy amerykańscy potrafili najczęściej umiejętnie dyskutować fakt swojej lojalności wobec interesów Izraela, wywierając

³⁷ M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O'Hanlon, *op. cit.*, s. 112, zob. też wypowiedź amerykańskiego eksperta Khaleda Elgindy'ego w: *In Arab World, Obama Has Fallen from Grace*, September 12, 2012, zob. M.S. Indyk, D.L. Byman, B. Riedel, M. Doran, *Around the Halls: Has the Arab Spring Made the World a More Dangerous Place?*, September 13, 2012, www.brookings.edu/research/interviews/2012/09/12-arab-world-obama-elgindy.

skuteczną presję na jego przywódców. Teraz w świadomości społeczności żydowskiej zrodziło się silne przekonanie, że „w głębi serca [Obama] jest po stronie Palestyńczyków”³⁸. Oznaczało to, że będzie mu niezmiernie trudno to zaufanie odbudować i w efekcie doprowadzić ponownie obie strony do stołu negocyjacyjnego. Zwłaszcza że – jak pisano – „the two sides are as far apart as ever”³⁹.

Problem potęgował fakt, że wśród żydowskiej społeczności w Izraelu generalnie osłabło poparcie dla procesu pokojowego. Znany izraelski publicysta Uri Huppert w rozmowie z polskim dziennikarzem przyznawał: „Dzisiaj przeciętny Izraelczyk nie widzi szans na polityczne rozwiązanie konfliktu, nie wierzy w skuteczność rokowań, zraził się do ustępstw na rzecz Autonomii, pamięta Palestyńczykom drugą intifadę, widzi, co się dzieje w Gazie, słyszy deklaracje Hamasu, dostrzega słabość i polityczną bezradność tych Arabów, którzy chcieliby się z nami dogadać”⁴⁰. Takie nastroje społeczne w Izraelu sprzyjały na pewno prawicy i prowadzonej przez premiera Netanjahu twardej i stanowczej polityce wobec Palestyńczyków.

W każdym razie przed prezydentem Obamą na początku jego drugiej kadencji w Białym Domu stało znowu wyzwanie związane z konfliktem bliskowschodnim, a kryzys w relacjach amerykańsko-izraelskich bynajmniej nie ułatwiał jego rozwiązania, a tylko jeszcze bardziej komplikował sytuację. Bez współdziałania Stanów Zjednoczonych i Izraela ożywienie procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie i doprowadzenie do pozytywnych rozstrzygnięć będzie niemożliwe. Chcąc zatem podjąć ponownie to wyzwanie, administracja Obamy musiała rozpocząć swą ofensywę dyplomatyczną od poprawy atmosfery na linii Waszyngton – Tel Awiw.

Pierwsze posunięcia Białego Domu po ponownym zaprzysiężeniu Obamy w styczniu 2013 r. zdawały się potwierdzać, że jego stara/nowa administracja podąży w tym właśnie kierunku. Wprawdzie powołanie na stanowisko sekretarza obrony Chucka Hagela, któremu przeciwnicy zarzucali antysemickie wypowiedzi, mogło utrudnić odbudowę dobrych relacji amerykańsko-izraelskich, ale już nominacja senatora Johna Kerry’ego, uchodzącego dotychczas za jednego z największych przyjaciół Izraela w Kongresie, na szefa Departamentu Stanu miała zupełnie inny wydźwięk.

Jednak najbardziej znaczący był fakt, że zaledwie w kilka tygodni po ponownym objęciu urzędu prezydenckiego, w marcu 2013 r., Obama wybrał się ze swą pierwszą jako gospodarz Białego Domu (*sic!*) wizytą do Izraela. Zaś w lipcu 2013 r. sekretarz stanu J. Kerry po serii wizyt w stolicach państw bliskowschodnich oraz w Izraelu i Autonomii Palestyńskiej ogłosił wznowienie rozmów pokojowych. Pierwsze spotkanie negocjatorów zaplanowano w Waszyngtonie. Także powołanie

³⁸ S. Hamid, *Middle East Lost...*

³⁹ Tamże.

⁴⁰ Uri Huppert w rozmowie z P. Smoleńskim: *Izraelskie kopie Dmowskiego*, „Gazeta Wyborcza” 20-21.07.2013.

pod koniec lipca 2013 r. Martina S. Indyka, czołowego eksperta ds. bliskowschodnich, ale też ostrego krytyka działań Obamy wobec Izraela, na stanowisko specjalnego wysłannika ds. negocjacji izraelsko-palestyńskich dowodziło, że Biały Dom podejmuje na Bliskim Wschodzie nowy jakościowo wysiłek dyplomatyczny.

Ale dopiero czas pokaże, czy prezydent Obama wykorzysta swą ostatnią szansę, aby osiągnąć sukces na Bliskim Wschodzie. Czy rozpoczęta na początku jego drugiej kadencji nowa ofensywa dyplomatyczna na rzecz rozwiązania konfliktu bliskowschodniego okaże się bardziej skuteczna, niż polityka prowadzona w poprzednich czterech latach? Czy uda się doprowadzić do pozytywnych przełomów w tym najdłuższym konflikcie współczesnego świata? Czy może jednak dynamika wydarzeń na Bliskim Wschodzie, której amerykańska dyplomacja nie podoła, będzie znowu pisała niekorzystne dla różnych zainteresowanych stron scenariusze?

ABSTRACT

The United States traditionally played a crucial role in the Near East, mainly as a catalyst of progress in the peace process. Therefore the Israeli-Palestinian conflict was one of the most pressing problems faced by the administration of Barack Obama. Initially it seemed that the President of the USA, who announced "his own way" of solving the conflict, would prove to be more efficient and reliable than e.g. his predecessor in the White House. The starting point was to be an improvement of the USA's relations with the Muslim world, among others due to America's stronger support of Palestinian postulates. However, Obama's tactic turned out to be ineffective; instead of restoring America's position and improving its image in the Near East, it resulted in a loss of confidence in Obama by both parties to the conflict. The most conspicuous effect of his endeavors was a crisis in American-Israeli relations and lack of progress in the Near East peace process.